LOKALNIE · #POLSKIEPIEKIEŁKO

LEWICA JUŻ NIE CHCE WOJEN KULTUROWYCH? TO KŁAMSTWO

Jan Fiedorczuk · 24 marca 2025

Wojna kulturowa jest wpisana w logikę dychotomii prawica-lewica i nie sposób jej uniknąć.



Pojawiające się głosy, że za rewolucję obyczajową odpowiada wyłącznie wielki kapitał, są fałszywe. Kapitalizm nie jest ideologiczny, tylko materialistyczny i konsumpcjonistyczny. Lewica natomiast jest nurtem przede wszystkim emancypacyjnym i jako taka nie może zrezygnować z imperatywu „wyzwalania" kolejnych grup. Drogą do tego celu jest wyłącznie rewolucja. Wezwania do rezygnacji z wojny kulturowej, które coraz częściej słyszymy z lewej strony, są jedynie unikiem, grą na czas. Tak naprawdę wojny kulturowe są wpisane w samą logikę ideowej diady prawica-lewica, która organizuje nasze myślenie o polityce.

– Co się z wami stało? – dziwił się Adrian Zandberg politykom PiS podczas swojej sejmowej przemowy. – Kulturowe wojenki zza oceanu tak wam się rzuciły na umysł, że nie widzicie, co się naprawdę dzieje? Trwa dogadywanie się z Putinem, sypie się mechanizm, który dawał Polsce pokój, a wy paradujecie w czerwonych czapeczkach i się cieszycie? – pytał lider Razem z mównicy.

Z tej wypowiedzi wypływa jedna interesująca wiadomość – to prawica stała się kolporterem „kulturowych wojenek", to prawica rozsadza spokój społeczny i ściąga z Zachodu najgorsze trendy. Lewica obrońcą porządku, prawica importerem moralnej degrengolady. Brawurowa zamiana miejsc.

Stąd już niedaleko do stanowiska prezentowanego przez tzw. ideowców, jakoby to wielki kapitał – międzynarodowe korporacje i koncerny medialne – antagonizuje społeczeństwo, podczas gdy lewicy zależy jedynie na wykluczonych, na człowieku pracy oraz na budowie bardziej sprawiedliwego świata. Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona – to, że kapitalizm faktycznie zwasalizował światową lewicę, zliberalizował ją, nie oznacza jeszcze, że środowiska lewicowe nie mają nic wspólnego z kulturową rewolucją. Oba nurty grają do jednej bramki, chociaż robią to z różnych pobudek. O ile w przypadku wielkiego kapitału obserwujemy ruch obliczony na pomnożenie zysku, a zatem jest to poparcie warunkowe, tak w przypadku lewicy jest to wyraz szczerej ideowej postawy, która swymi korzeniami tkwi w samej istocie lewicowości. Dlatego też koniec końców to lewica jest tu kluczowa – kapitalizm tak długo popiera rewolucję obyczajową, jak długo mu się to opłaca.

Lewica to coś więcej niż Marks

Lewicowość bowiem nie sprowadza się do hasła antyklerykalizmu, praw mniejszości seksualnych, podatków czy idei zniesienia państwa, gdyż te postulaty jedynie pełnią rolę narzędzi, można je postrzegać jak drogę wiodącą do sprawiedliwego społeczeństwa. Dla prawicy czy liberałów emancypacja może być narzędziem, może być celem pobocznym, dla lewicy jest natomiast esencją, stanowi o jej istocie. Lewica z samej swojej natury dąży do osobliwie rozumianego postępu w każdej sferze ludzkiego życia. Rzecz nie polega na tym, żeby czytać klasyków i szukać, gdzie któremu się noga powinęła, że Marks był a-LGBT albo Marcuse był za mało prokomunistyczny, tylko że działali oni podług tej samej logiki emancypacyjnej.

> Istotą lewicowości nie jest bowiem stosunek do konkretnych tematów i problemów, ale sam emancypacyjny charakter tegoż ruchu. W zależności od czasów nacisk może być kładziony na różne aspekty (przemiany polityczne, ekonomiczne, obyczajowe), ale sam utopijny kierunek rewolucji jest niezmienny – celem jest nowe, sprawiedliwe społeczeństwo, które można osiągnąć poprzez wyzwolenie człowieka.

Dlatego też mówienie o tym, że lewica po upadku idei powszechnej rewolucji w XX wieku zaczęła poszukiwać „proletariatu zastępczego", jest tylko częściowo trafne. Z jednej strony, owszem, w wymiarze analizy dynamiki politycznej, faktycznie doszło do „porzucenia" robotników jako elementu reakcyjnego i jednoczesnej orientacji na mniejszości seksualne oraz zaangażowania w prądy antyrasistowskie i feministyczne – proletariat w gruncie rzeczy okazał się warstwą reakcyjną, szukamy zatem innych grup (studenci, kobiety, mniejszości seksualne, mniejszości etniczne), dopatrując się systemowego błędu już nie w ekonomicznych zależnościach, tylko w kulturze i normach społecznych. To prawda, jednakże z drugiej strony w szerszej perspektywie trudno mówić o „proletariacie zastępczym" w dosłownym tego słowa rozumieniu, tylko o nowych środkach wyrazu odwiecznego emancypacyjnego charakteru lewicy. To, że akurat Karol Marks skupiał się na proletariacie, nie może oznaczać sprowadzenia dorobku całej lewicy do tegoż tematu.

Zwłaszcza, że choćby środowiska LGBT po prostu nie mogą pełnić tej roli, jaką pełnili robotnicy w ideologii Marksa – robotnik znajdował się w centrum zainteresowania filozofa z Trewiru, gdyż był najbardziej odczłowieczanym podmiotem w kapitalistycznej machinie, tymczasem osoby „nieheteronormatywne" nie są w żaden sposób alienowane, tylko wprost adorowane przez obecny system kapitalistyczny.

> Na prawicy panuje czasami skłonność do ograniczania całego bogactwa świata lewicy, jej wszelkich twarzy i metamorfoz do prostego hasła „marksizm". I przy całym uznaniu doniosłej roli Karola Marksa dla losów myśli politycznej, to lewica istniała przed Marksem, po Marksie, a czasami wręcz w opozycji do Marksa.

Innymi słowy – to, że Marks nigdy nie pisał nic o rewolucji LGBT, nie ma jeszcze żadnego znaczenia dla charakteru lewicy jako takiej.

Wezwanie do zaprzestania „wojenek" to jedynie gra na czas

Simon Tormey i Jules Townshend w pracy poświęconej postmarksizmowi stwierdzają, że rok 1968 można uznać za „początek końca zarówno zachodniego, jak i wschodniego marksizmu". Jest to niewątpliwie ocena odważna, jednak znowuż nie tak karkołomna, jak można by sądzić. Faktycznie po I wojnie światowej, gdy proletariat wybrał drogę nacjonalizmu zamiast socjalizmu, polityczny wydźwięk marksistowskiej utopii stracił swój powab. Najdobitniej świadczą o tym kolejne manifestacje marksizmu i postmarksizmu z tzw. szkołą frankfurcką na czele, która to ostatecznie odeszła tak daleko od wskazań swego patrona, że Leszek Kołakowski określił ją nie manifestacją marksizmu, tylko „objawem jego rozkładu i paraliżu". To napięcie między Marksem a frankfurtczykami trafnie oddał PRL-owski autor Antoni Malinowski, piszący z pozycji marksizmu-leninizmu. Analizując propozycje zachodnich myślicieli, stwierdził on, że „zgadzali się oni z marksizmem, jeżeli idzie o przeszłość, a nie zgadzali się z nim natomiast, jeśli idzie o przyszłość".

A jednak ciężko byłoby Herberta Marcusego czy Theodora Adorno wyrzucić z obozu lewicy. Taki ekskluzywizm oznacza bowiem jedynie sekciarstwo, niczym nie różniące się od postawy piewców korwinizmu, których zdaniem podnoszenie podatków wyklucza z szeregów prawicy. Marks jest najważniejszą postacią lewicy, ale na nim świat się nie kończy.

Tym, co oprócz wiecznego dążenia do emancypacyjnej utopii łączy różne nurty lewicy, jest jeszcze błąd antropologiczny polegający na melioryzmie – założeniu, że człowiek jest w gruncie rzeczy dobry i dąży do dobra, a tym, co go psuje, są zewnętrzne uwarunkowania społeczne. Najpierw człowieka psuł *ancien regime*, następnie system kapitalistyczny, a w końcu ramy kulturowe i normy społeczne. Widzimy, że gdy tylko pada jeden ciemiężyciel, to lewica natychmiast znajduje kolejnego, jeszcze gorszego, od którego trzeba emancypować społeczeństwo. Wieczne gonienie króliczka. Zadaniem rewolucjonisty jest wyzwolenie jednostki i „pogodzenie jej ze swoja naturą", jak pisał Marks. Trywializując nieco – świat jest zły, nie dlatego, że źli są ludzie, tylko ludzie są źli, gdyż społeczeństwo ich takimi uczyniło. To lewica zatem, a nie liberalizm, jest formacją prawdziwie wolnościową, która stawia sobie za cel poszukiwanie coraz bardziej zakamuflowanych form opresji – od hierarchii społecznej, przez wspólnotę narodową, kulturę, aż po język, którym władamy. Liberałowie (i szerzej – kapitaliści) tymczasem są kunktatorscy – lubią być w

centrum, lubią to, co popularne, a nie to, co słuszne.

> Podkreślmy, żeby to wybrzmiało – tak, wielki kapitał ma ewidentny pociąg do eksploatowania tematyki wszelakich mniejszości, ale wywodzenie z tego twierdzenia, że to zły kapitalizm zliberalizował lewicę i wtłoczył ją w tematykę emancypacyjną, jest absurdem.

Sam kapitalizm nie jest ideologiczny, tylko materialistyczno-konsumpcjonistyczny. Wielki kapitał jest „dopełnieniem" – podłącza się pod idee i niejako pasożytuje na nich, gdy mu się to opłaca. Kazus Marka Zuckerberga, który po zwycięstwie Donalda Trumpa natychmiast przestawił swój portal na „konserwatywne" tory, jest tutaj wielce wymowny. Korporacje i koncerny podczepiły się pod rewolucję obyczajową, gdyż i tak swój przekaz adresowały głównie do zliberalizowanych wielkich aglomeracji, a nie konserwatywnej prowincji. Nie były jednak one prowodyrem tej obyczajowej rewolty. Wielki kapitał wspiera lewicową narrację dotyczącą emancypacji, ponieważ uważa to za opłacalne, a nie za słuszne.

Niezależnie jednak, czy kapitalizm skręciłby w tę stronę – jak to miało miejsce na przełomie XX i XXI wieku – czy też nie, to sama lewica tak czy inaczej zajęłaby się kwestiami „ciemiężonych mniejszości", gdyż wynika to z samej istoty lewicowości. Już dla klasycznych rewolucjonistów małżeństwo, tradycyjna moralność i normy społeczne były przejawem burżuazyjnego zepsucia. Nawet Fryderyk Engels (mimo że ze względu na kontekst historyczny stosunkowo mało miejsca poświęcał tym kwestiom) w pracy *Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa* wskazywał, że tradycyjna rodzina i patriarchat są związane z pojawieniem się instytucji własności prywatnej. Wszak na długo przed szkołą frankfurcką, na długo przed hegemonią neoliberalizmu i zblatowanego z nim wielkiego kapitału, nikt inny, a Włodzimierz Lenin stanął na czele rewolucji seksualnej, dokonując ataku na instytucję małżeństwa (m.in. rozwód „na życzenie"), na penalizację homoseksualizmu i rozpoczynając niespotykaną w dziejach ofensywę proaborcyjnej. Na czoło postępowej fali wysunęła się wówczas postać Aleksandry Kołłontaj, która postulowała, że kobiety należy wyemancypować nie tylko spod ucisku ekonomicznego, ale również psychologicznego. W jej opinii narzędziem do tej zmiany powinien być seks bez zobowiązań i „wyzwolenie" kobiet spod ciężaru macierzyństwa. Falami gwałtów, plagą chorób wenerycznych i setkami tysięcy aborcji mało kto się przejmował. Dopiero kiedy degrengolada moralna zaczęła odbijać się na siłach witalnych społeczeństwa, którego zadaniem miało być przecież poniesienie komunizmu na cały świat, towarzysz Stalin zdecydował o wstrzymaniu postępowego eksperymentu.

Ciężko znaleźć podobny przykład moralnej dekadencji w którymś z ówczesnych państw liberalnych. To, czego dokonała lewica w ZSRR, było prawdziwie pionierskie i rewolucyjne. I obyło się bez wsparcia mitycznego wielkiego kapitału.

Oczywiście to też nie jest tak, że liberałowie są w głębi serca anty-LGBT. Po prostu liberał może akceptować różne kompromisy, akcentować lub zbywać milczeniem tematykę genderową, a w ostateczności kreować wręcz hybrydę tzw. konserwatywnego liberalizmu, podczas gdy dla lewicowca taka postawa jest nie do przyjęcia. Nie ma żadnej „lewicy konserwatywnej", gdyż oba nurty obierają sprzeczne cele.

> W przeciwieństwie do liberalnego centrum, które zawsze może kluczyć, to lewica (analogicznie

> do prawicy) okopuje się po konkretnej stronie sporu i ze swojej istoty musi opowiedzieć się w konflikcie kulturowym rozdzierającym świat Zachodu. To sprawia, że wojny kulturowe są wpisane w samą logikę obecnego systemu. Dopóki podział na prawicę i lewicę jest w mocy, dopóty wojny kulturowe będą trwać.

Prawica i lewica biorą udział w ideowych zawodach, przeciągając w swoją stronę linę, podczas gdy liberałowie siedzą w centrum, przytulając się jedynie do tej strony, która aktualnie mocniej ciągnie ten metapolityczny sznur.

Zdobycze wojny kulturowej

To, że lewica XVIII i XXI wieku nie znalazłyby wspólnego języka ws. LGBT+, to oczywiste ze względu na przepaść, jaka dzieli obie epoki. Ale równie oczywiste jest, że bez lewicy XVIII-wiecznej nie byłoby współczesnej lewicy genderowej. Choćby bunt wobec religii, który stanowi przedpole dla dalszych rewolucji, stanowił fundament zarówno jakobinów, marksistów, jak i XX-wiecznych myślicieli. Drugi po frankfurtczykach symboliczny patron XX-wiecznej lewicy, Antonio Gramsci, w *Nowoczesnym Księciu* wprost nawołuje do „wojenki kulturowej", atakując religię i domagając się laicyzacji społeczeństwa: „[Nowoczesny] Książę zajmuje w ludzkiej świadomości miejsce bóstwa czy kategorycznego imperatywu, staje się podstawą nowoczesnego laicyzmu oraz pełnej laicyzacji całego życia i wszystkich stosunków obyczajowych". Ale przecież podobnych przykładów jest znacznie, znacznie więcej. Slavoj Žižek odwołujący się do chrześcijańskich toposów stanowi wyjątek, a nie normę wśród lewicowych myślicieli, a i on przecież nie postuluje żadnego „konserwatywnego zwrotu", a jedynie buduje teoretyczny konstrukt, wystylizowany i być może atrakcyjny intelektualnie, ale koniec końców zawieszony w próżni.

Odejdźmy też na chwilę od filozofii, gdyż papier przyjmie dowolną abstrakcję, i wróćmy do głównego tematu. W zachodnich państwach po prostu nie widać żadnej siły lewicowej, która faktycznie byłaby gotowa zrezygnować z wojny kulturowej. We Francji nacisk na tę tematykę jest tak przemożny, że choćby Marine le Pen, oskarżana o reprezentowanie „skrajnej prawicy", w sporym stopniu przejęła już agendę obozu postępowego. W USA wygląda to podobnie – gdyż owszem, Trump ośmielił się oznajmić, że istnieją wyłącznie dwie płcie, ale jednocześnie ten sam Trump, gdy tylko mu wygodnie, bardzo chętnie gra kartą pro-LGBT. Oto „skrajna prawica" w całej okazałości – Donald Trump obleczony we flagę LGBT oraz Marine Le Pen broniąca aborcji. Aby funkcjonować na Zachodzie, współczesna „skrajna prawica" została zmuszona do przyjęcia znacznej części postulatów swych konkurentów.

> Na Boga, jeżeli wyjrzymy poza polskie podwórko, to bez trudu dostrzeżemy, że walka nie toczy się przecież o to, czy małżeństwo ma być związkiem kobiety i mężczyzny, tylko czy uważamy, że istnieje 50 różnych płci, czy jedynie 15. Taki jest status „wojenek kulturowych", których zawieszenia chce Adrian Zandberg.

Nie kojarzę żadnej porównywalnej do powyższych przykładów Trumpa czy Le Pen odpowiedzi z lewej strony – nie kojarzę choćby liderów światowej lewicy na marszach pro-life. Nie kojarzę lewicy, w tym tak

„prawej", jak duńska socjaldemokracja prowadzona przez Mette Frederiksen, która faktycznie stwierdziłaby: „W porządku, rezygnujemy z wojen kulturowych, robimy krok w tył. Mieszkania, nie aborcja. Transport, nie LGBT. Odpuszczamy obyczajówkę, walczymy o człowieka pracy". No tak to po prostu nie wygląda. Między jednym i drugim nurtem, między lewicą i kapitalizmem, zachodzi synergia, a wiara, że po wycięciu wielkiego kapitału lewica skupi się na kwestiach dotyczących „szarego człowieka", jest naiwnością.

> Zauważmy, że lewicowo-liberalny mainstream potrafi ustąpić na wielu polach konkurentom z prawej strony (migracja, obronność), ale nigdy nie jest to pole kultury i norm społecznych.

W rzeczywistości wezwanie do zaprzestania „wojenek kulturowych" jest jedynie próbą obrony zdobyczy w tychże wojnach, jakie lewica poczyniła na przestrzeni ostatnich dekad. Ten ekumeniczny ton jest owocem tryumfów, jakie prawicowi populiści odnoszą w ostatnich latach. Zmian wiatr powiał w trochę inną stronę i progresywiści chcą po prostu przeczekać najsilniejszą zawieję. Wezwanie do zawieszenia sporów to jedynie unik.

Lewica bez LGBT? To jak Korwin-Mikke bez muszki

Czy po dekadach dominacji left-libu, który bardziej był zajęty obyczajowymi nowinkami niż problemami społeczeństwa, rodzi się w końcu lewica narodowa, o którą woła nieustannie choćby Marcin Giełzak? Lewica patriotyczna, lewica nieliberalna, lewica broniąca państwa narodowego? Lewica, którą bardziej zajmują sprawy pracownicze niż zaimki, lewica broniąca narodu, a nie prawa do identyfikowania się dzieci z jedną 56 płci, słoniem i parapetem? Wydaje się, że to jednak teza na wyrost. Mamy, być może, pewne pojedyncze jaskółki takiej zmiany, jednak ciężko tu mówić o trendzie. Co by nie mówić, to mijają lata, a polska lewica nadal ma twarz Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia, a nie „Nowego Obywatela" czy Rafała Wosia. Takiej „retro-Nowej Lewicy", która odrzuca „wojenki kulturowe" na rzecz solidaryzmu oraz interesu narodowego, można by jedynie przyklasnąć, gdyby nie dojmujące przypuszczenie graniczące z pewnością, że jest to ni mniej ni więcej, a jedynie taktyka obliczona na „znormalizowanie" lewicy jako takiej w oczach przeciętnego Polaka, zdjęcia z niej piętna „partii dziwaków".

Obserwujemy jakąś zmianę w świecie. Nie chcę mówić, że jest to konserwatywne przebudzenie, czy prawicowy zwrot, gdyż zbyt wcześnie, by takie sądy wydawać, ale niewątpliwie nie jest to zwrot na lewo. Tej zmiany nie wyczerpuje jedynie „dwupłciowa" ofensywa Donalda Trumpa czy nawet Canossa wielkich tego świata na czele z Markiem Zuckerbergiem, którzy stanęli przy prezydencie USA, angażując się w jego konserwatywną retorykę. Wydaje się, że jest to zmiana na poziomie mas wyborców, którzy widząc degrengoladę i moralny nihilizm forsowany pod hasłami tolerancji, zaczęli odwracać się od lewicowo-liberalnej rewolucji. Przecież widzimy, jak hasła przez dekady przypisywane do prawicy (często „skrajnej") weszły już do liberalnego mainstreamu.

Zauważmy, że tak jak nagle zmieniło się w ostatnim czasie nastawienie lewicy do „wojenek kulturowych", tak samo w kręgach obozu progresywnego, który przez całe dekady głosił peany na cześć wolności słowa, pojawiły się wezwania do wprowadzenia cenzury, gdy tylko okazało się, że prawicowy miliarder kupił Twittera, a drugi miliarder ograniczył agendę LGBT na Facebooku.

W obu przypadkach – wolności słowa i wojen kulturowych – mechanizm jest ten sam: po latach ofensywy Lewica nagle otrzymała bolesny cios i ostatnie wydarzenia są jedynie reakcją na to uderzenie.

> Adrian Zandberg, który w poniedziałek głosi konieczność zakończenia wojen kulturowych, we wtorek będzie z sejmowej mównicy nawoływać do liberalizacji przepisów aborcyjnych, a w środę będzie opowiadał o „małżeństwach jednopłciowych".

I to nie jest zarzut do samego Zandberga, który po prostu broni swego. Wojna kulturowa w naszym kraju jest faktem, którego nie zniesiemy zapewnieniami o wzajemnym szacunku, gdyż jest ona wyrazem aktualnej struktury politycznej, a być może i tkwi gdzieś głębiej, w samej naturze człowieka i społeczeństwa. Zdrowsze dla Polski jest stanięcie do walki z otwartą przyłbicą. Bez zacietrzewienia, ale i bez uników. Bez względu na pojedyncze chwalebne wyjątki lewica w swojej masie była, jest i będzie za rewolucją obyczajową, gdyż dążenie do emancypacji i szeroko rozumianego postępu jest w jej politycznym DNA. Kapitalizm jest tu jedynie wygodnym alibi na czas kampanii wyborczej.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=-0620bRmaCA

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/lewica-juz-nie-chce-wojen-kulturowych-to-klamstwo/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć